

WSPOMNIENIA

Bronisław Zbigniew Machurá, Kielce

PREFEKT

Już w okresie dzieciństwa miałem szczęście zetknąć się z człowiekiem, który zapisał się na stałe w moim życiu. Prowadził chłopca w pierwszych latach szkolnych. Ukierunkowywał kształtowanie osobowości młodzieńca. Służył radą wchodzącemu w życie mężczyźnie. Był autorytetem, do którego można było zwrócić się w wieku dojrzałym.

W trzeciej klasie szkoły ćwiczeń przy Seminarium Nauczycielskim w Kielcach religii zaczął mnie uczyć nowy prefekt ksiądz dr Józef Łapot, który objął tę funkcję po księdzu Karolu Sikorskim. Oglądaliśmy z zainteresowaniem młodego kapłana. Było w jego postaci coś pociągającego. Już od pierwszych dni zyskał sobie sympatię uczniów. Po lekcji otaczaliśmy księdza kołem, chcąc przedłużyć jego pobyt w klasie. Nie wymagał całowania w rękę jak poprzedni prefekt, ale nie wzbraniał, jeśli to czyniono. Otoczony gromadą chłopców szedł po lekcji korytarzem szkolnym, rozmawiając i głaszcząc nas po głowach. Nie mógł się uwolnić od towarzystwa nawet przed drzwiami pokoju nauczycielskiego. Ksiądz lekcje prowadził ciekawie. To, co mówił, starał się przedstawiać bardzo obrazowo. Jeśli czegoś nie rozumiano, powtarzał i tłumaczył do skutku. Przy pytaniu na odpowiedź długo nie czekał. Gdy jej nie było, wskazywał palcem następnego i następnego, aż trafił na tego, który wiedział. Ten musiał mówić dokładnie, by wszyscy zrozumieli, a czy zrozumieli sprawdzał wyrывkowo. Nieraz omawiając jakąś scenę ze Starego czy Nowego Testamentu, stał przed klasą z przymkniętymi oczami. Widać było skupienie i chęć przekazania uczniom w możliwie najlepszy sposób tego, co chce powiedzieć.

W szóstej klasie ksiądz zamiast podręczników polecił wszystkim kupić Nowy Testament, z którego uczyliśmy się religii. Było to wielkie nowatorstwo, gdyż w tamtych czasach nikt nie używał w szkole Pisma świętego, a i w domach nie widziano go często. Prefekt osiągnął podwójny cel. Ewangelie przerabialiśmy w oryginalnie i czytano je w naszych rodzinach. W klasie czwartej mieliśmy pierwszą Komunię Świętą. Ksiądz uczył katechizmu, napisanego zresztą w sposób jasny i zwyciężył przez siebie. Uroczystość przebiegała sprawnie, w podniosłym nastroju w Kościele Świętej Trójcy. Po Komunii odmawialiśmy akty strzeliste, które zapamiętałem na całe życie. Na zakończenie było wspólne śniadanie w szkole, zbiorowa foto-

grafia i indywidualne zdjęcia z prefektem. Część uczniów pojechała z księdzem do Częstochowy.

Msze święte szkolne odbywały się w katedrze. Odprawiał je zazwyczaj prefekt. Kazania były ogólne dla wszystkich wiernych. Ksiądz, jeśli wygłaszał homilię, mówił krótko, nawiązując zawsze do Ewangelii i uaktualniał ją problemami z życia młodzieży. Już w klasie trzeciej prefekt zaczął chętnych uczniów uczyć służenia do Mszy św. Najpierw trzeba było opanować na pamięć ministranturę. Potem ćwiczyliśmy ją wspólnie z księdzem, który na końcu uczył nas zachowania się i czynności przy ołtarzu. Po pełnym przygotowaniu przychodziliśmy służyć w kaplicy domu dla przewlekle chorych fundacji Małskich, gdzie ksiądz przez pewien czas mieszkał. Prefekt zorganizował w ćwiczeniówce Krucjatę Eucharystyczną, do której można było się zapisać po pierwszej Komunii św. Członkowie krucjaty służyli do Mszy św. na nabożeństwach szkolnych. Mieliśmy wspólne zebrania, prenumerowaliśmy związkowe pismo.

W albumie mam wspólne zdjęcie członków Krucjaty z księdzem Łopotem. Prefekt zyskiwał w szkole coraz większe zaufanie i popularność. Widać to było w dniach jego imienin. Rodzice pamiętali, by dzieci składały księdzu życzenia. Otrzymywał bukiety kwiatów na lekcjach i w pokoju nauczycielskim. Nauka religii nie ograniczała się do przerabiania przewidzianego programem materiału. Były to jednocześnie lekcje wychowawcze, które pobudzały do myślenia. W klasie piątej w domu jakoś mi nic nie wychodziło. Mama miała ciągle do mnie pretensje. Byłem nieposłuszny i w konflikcie z siostrą. Po jednej z lekcji religii podszedłem do prefekta pytając, czy uwagi na temat postępowania, które wypowiadał, były skierowane do mnie. Odpowiedział, że nic podobnego, ale jeśli chcę z nim porozmawiać, to mogę przyjść do Domu Księży Emerytów, gdzie wtedy mieszkał. Następnego dnia po południu zapukałem nieśmiało do drzwi księdza. Powitał mnie z uśmiechem i serdecznie. Posadził na kolanach i pytał, z czym do niego przychodzę. Powiedziałem po prostu - Co robić, żeby być lepszym? - To pytanie ksiądz zapamiętał na całe życie. Uściskał mnie i śmiejąc się wyszorował moje policzki zarostem brody. Poczęstował cukierkami, a ja opowiadałem tarapaty domowe.

Odtąd zachodziłem do księdza dość często. W czasie jednych odwiedzin dał mi do przeczytania książkę T. Totta „Chrystus i młodzieniec” To trochę dla starszych, powiedział, ale dasz sobie na pewno radę. Czytaj codziennie jeden rozdział i przemyśl go dobrze. Czytałem - i książki Totta tak mnie zainteresowały, że kupiłem je prawie wszystkie. „Młodzieniec z charakterem” oraz „Religia w życiu młodzieńca” towarzyszyły mi przez wiele lat i były źródłem wielu pożytecznych inspiracji. Sam ksiądz niczego nie nakazywał. Podsuwał delikatnie myśli i propozycje, czekając jak zostaną przyjęte. Zachęcał do utrzymywania porządku dnia, wczesnego wstawania, do dokładnego składania ubrania przed snem, nie mówiąc o usługowości wobec domowników i odmawianiu pacierza. Zalecał codzienny rachunek sumienia. Zacząłem częściej służyć do Mszy św.

Gdy byłem w szóstej klasie, ksiądz przeprowadził się do mieszkania na ulicy Sienkiewicza, do budynku gdzie znajduje się obecnie Filharmonia. Szło się od podwórka na pierwsze piętro ciemnymi schodami. Drzwi wejściowe obudowane były małym przedsionkiem z desek.

W dużym pokoju stało biurko, szafa, łóżko i fotele. Na ścianach wisiały repro-

dukcje obrazów i rzeźb renesansowych, głównie fragmentów polichromii kaplicy Sykstyńskiej. Reprodukcje te w późniejszym czasie ksiądz ofiarowywał swoim uczniom. Mieszkanie w centrum miasta było łatwo dostępne dla wszystkich, którzy chcieli księdza odwiedzić.

Poza uczniami miał liczne znajomości i kontakty z mieszkańcami Kielc, zwłaszcza wśród inteligencji. Często odwiedzał rodzinę Siekluckich, właścicieli cegielni. Pan Sieklucki był gimnazjalnym kolegą i przyjacielem księdza. Opowiadał mi już po wojnie jako pacjent, że odwiedził przyjaciela w czasie studiów we Fryburgu w Szwajcarii. Idąc z księdzem ulicą, był zdumiony jak wielu ludzi poznał on w tak krótkim czasie, gdyż kłaniał się na lewo i na prawo. Świetnie mówił po francusku. Trzeba przyznać, że już sama sylwetka księdza, sposób poruszania się i mówienia, gesty, zjednywały mu ludzi. Miał pociągłą twarz z wydatnym prawie klasycznym nosem, wyraziste ciemne oczy i ciemne włosy. Chodził lekko i poruszał się łagodnie, zwłaszcza gdy zwracał się do kogoś. Mówił miłym dla uszu dźwięcznym głosem, zawsze życzliwie i z zainteresowaniem patrząc na tego z kim rozmawiał. Lubił gestykulować lekko rękami. Słuchając, przechylał na bok głowę i zagryzał często wargi. Jeśli śmiał się, to był to śmiech serdeczny ale dyskretny. Nosił zawsze dobrze skrojone sutanny. Lubił chodzić w pelerynie i w kapeluszu typu „Eden”

Po ćwiczeniówce ksiądz Łopot był jeszcze przez rok moim prefektem w gimnazjum im. Stefana Żeromskiego, w pierwszej klasie. Został tam przydzielony do pomocy księdzu Sikorskiemu. Na lekcjach przerabialiśmy Dzieje Apostolskie i Listy św. Pawła. Lekcje były prowadzone ciekawie i obrazowo. Na mapach trzeba było oznaczać szlaki wędrówek i miejsca pobytu Apostoła Narodów. Wiadomości były sprawdzane na bieżąco, ze stawianiem stopni. Co pewien czas pisaliśmy klasówki. Pamiętam jeden z tematów: Kim byłby św. Paweł, gdyby żył w dzisiejszych czasach. Większość uznała, że poza pracą misyjną uprawiałby dziennikarstwo.

Z religii było dużo dobrych stopni, ale były i słabe. W ciągu tego roku odwiedzałem często księdza, który traktował mnie coraz bardziej bezpośrednio i życzliwie. Opowiadał o latach szkolnych, o tym jak w 1920 roku zgłosił się wraz z innymi kolegami ochotniczo do wojska. Pokazywał w albumie zdjęcie w mundurze wojskowym. Na biurku stała fotografia z lat szkolnych. Stale podsuwał mi książki do czytania. Interesowały mnie specjalnie „Wieczory nad Lemanem”, ciekawie opracowane dialogi apologetyczne. Wzorów można było szukać w życiorysie P.G. Frasatięgo, młodego studenta włoskiego, obecnie kandydata na ołtarze.

Ksiądz w czasie każdych wakacji przebywał za granicą, przeważnie w Szwajcarii, gdzie zajmował się pracą duszpasterską wśród polskich robotników. Kraj ten wspominał bardzo często, zwłaszcza okres studiów we Fryburgu. W albumach przechowywał zdjęcia z tamtych czasów, z wycieczek po całej Europie. Co roku odprawiał rekolekcje zamknięte w jednym z klasztorów szwajcarskich, w którym miał przyjaciela przeora. Mieszkał zazwyczaj w Morges, gdzie odwiedzał Ignacego Paderewskiego. Na półce biblioteki księdza stała fotografia sławnego pianisty z dedykacją wyrażającą uznanie za pracę dla Polaków za granicą. Przed wakacjami w roku 1936 ksiądz został mianowany prefektem w gimnazjum im. Jana Śniadeckiego, do którego sam kiedyś uczęszczał. Dlatego cały pobyt w Szwajcarii poświęcił

na przygotowania do zadań, jakie go czekały w nowej szkole. Nawiązywał kontakty i zapoznawał się z działalnością katolickich organizacji młodzieżowych, zwłaszcza francuskich. Wrócił zadowolony pełen projektów i planów, które zamierzał realizować. Mnie podarował reprodukcję Chrystusa ukrzyżowanego Velasqueza z napisem: *Voilà, que fait moi pour toi, e tu, que fait tu pour moi?* Obrazek ten przez wiele lat wisiał nad moim łóżkiem. Miałem go cały czas ze sobą w czasie wędrówki we wrześniu 1939 roku. Obecnie znajduje się u syna z poleceniem przekazania pamiętki kiedyś również synowi.

Jak było do przewidzenia religia w nowym roku szkolnym w gimnazjum Śniadeckiego stała się ważnym przedmiotem. Historia Kościoła, dogmatyka, etyka musiały być traktowane przez uczniów na równi z matematyką, fizyką, językiem polskim, czy innymi lekcjami. Prefekt miał duże doświadczenie pedagogiczne i był wymagający. Nawiasem wspomnę, że w roku 1939 odbyła się matura z religii. Abiturienti musieli przygotować do egzaminu 20 tematów i wyniki były bardzo dobre. Ale to tylko część działalności księdza. Chciał z powierzonej mu młodzieży formować wierzących, świadomych swych zadań katolików. Plany postanowił realizować poprzez Sodalicję Mariańską, którą zreorganizował od podstaw, opierając się głównie na uczniach klas młodszych. Nie chciał mieć na początek wielu. Mogło być, jak mówił, nawet kilku, ale zdecydowanych i chętnych do pracy. Pewnego razu przedstawił mi u siebie w mieszkaniu skromnego ucznia jako prezesa Sodalicji. Byłem trochę zdziwiony, bo chłopiec się jąkał. Ale ksiądz znał się na ludziach: Józek Sańpruch wywiązał się bardzo dobrze ze swoich obowiązków. Ksiądz zaproponował mi, że bym przyłączył się do grona jego sodalisów. Ucieszyłem się bardzo. Dawało mi to możliwość dalszego utrzymywania bliskich kontaktów, kiedy przestał być moim prefektem.

Przychodziłem regularnie na zebrania Sodalicji. Na początku odmawiano modlitwę przywieziona z Francji i przetłumaczoną przez księdza. Rozpoczynała się od słów: „Ojcie nasz, który jesteś w niebie, chcemy Ci ofiarować całą naszą młodość, aby już teraz przygotować wierność niezachwiana w całym życiu naszym...” Następowało krótkie zagajenie moderatora, po którym jeden z uczestników zebrania odczytywał przygotowany samodzielnie i sprawdzony przez księdza krótki referat. Czasem czytano wyjątki z książek o tematyce religijnej. Po czym następowała dyskusja inspirowana i pobudzana przez moderatora. Ksiądz chodził między nami, zachęcał do wypowiedzi, często je prowokował zaskakującymi pytaniami lub kontrowersyjnymi opiniami. Cenił każdą wypowiedź, specjalnie jeśli były samodzielne. W razie potrzeby, uzupełniał je i rozwijał.

Ważną rolę w życiu Sodalicji odgrywały wspólne modlitwy, nabożeństwa i Eucharystia. Powoli z zespołu zaczęła wylaniać się grupa najbardziej aktywnych, którzy byli częstymi gośćmi w mieszkaniu księdza. Moderator nazwał ich na wzór francuski „militant”, walczący lub działający. Z czasem stali się oni moimi najbliższymi kolegami i przyjaciółmi. Osoba księdza połączyła nas na całe życie. Józek Sańpruch, Mietek Grudzień, Tadek Fajks, Czesiek Kundera to nazwiska znane w mojej rodzinie nawet dzisiaj. Na Święta Bożego Narodzenia ksiądz wyjechał do Krynicy, skąd przysłał do najbliższych sobie sodalisów kartki z życzeniami wraz z zachętą do dalszej pracy nad sobą i w zespole, rozpoczynając tym bogatą korespondencję z uczniami, która rozwijała się i była kontynuowana przez całe lata jako

wzajemna obustronna potrzeba.

Przeszło drugie półrocze, zbliżały się wakacje. Ksiądz w czerwcu zaproponował mi wyjazd na kolonię sodalicyjną do Śnieżnicy koło Mszany Dolnej. Zgodziłem się chętnie. Wyjeżdżałem dotychczas na obozy harcerskie, ale kolonia sodalicyjna pociągała mnie więcej. Ksiądz chciał, żeby w zetknięciu z młodzieżą z całej Polski, wszystko to, co zostało zdobyte uległo jeszcze pogłębieniu. Od tych wakacji co roku do samej wojny wysyłał po kilku swoich sodalisów na kolonię. Czym była „Śnieżnica” opisałem w tygodniku Niedziela w roku 1988. Ksiądz jak zwykle wyjechał za granicę. Na kolonii otrzymałem list z Francji, w którym opisywał działalność katolickiej młodzieży. Twierdził, że przerasta ona aktywnością wielu naszych duchownych. Zachęcał do zapoznawania się z metodami pracy sodalicyjnej w różnych ośrodkach w Polsce, aby co bardziej wartościowe i ciekawsze wprowadzić w Kielcach. Warto dodać, że w roku następnym moderator odwiedził swoich sodalisów przebywających na Śnieżnicy i spędził z nimi kilka dni.

Tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego ksiądz przeprowadził się do mieszkania na ulicy Czerwonego Krzyża, w czym z zapalem pomagali mu uczniowie. Mieszkanie usytuowane było na trzecim piętrze w nowo wybudowanej kamienicy. Składało się z trzech pokoi, z których jeden obok kuchni zajmowała gospodyni, pani Kaziowa. Nowoczesne meble sprawiały przyjemne wrażenie. Wygodna kanapa, szerokie fotele, małe zgrabne biurko, obszerna biblioteka. Na ścianach wisiały ładnie oprawione obrazy. Całe pomieszczenie pasowało do księdza, do stylu jego bycia i czuł się w nim dobrze. Kiedy go zapytałem, czy kapłanowi wypada mieć takie mieszkanie, odpowiedział, że ułatwia mu ono kontakty i pracę z ludźmi ze środowiska, w którym się obraca. Poza tym nie bez znaczenia jest oddziaływanie na uczniów. Przecież to oni będą kiedyś inteligentami i już teraz powinni przyzwyczajać się do pewnego stylu życia. Nie raz zaznaczał, że nie przywiązuje żadnego znaczenia do tego, co posiada, a więc i do mieszkania i jego urządzenia. W każdej chwili może się wszystkiego pozbyć. Tak się też stało. W czasie wojny meble ofiarował przyjacielowi księdzu Kurczabowi, a sam mieszkał do końca życia w skromnych służbowych pomieszczeniach.

Po roku ksiądz miał w Sodalicii już dostatecznie wyrobiony zespół, który mógł oddziaływać na całą szkołę. Jeśli chodzi o mnie, uznał, że powiniennem teraz przejść do pracy w Sodalicii mojego gimnazjum. Zresztą już od pewnego czasu dyskretnie kierował naszym środowiskiem. Było to bardzo potrzebne i łatwe, bo prefekt ksiądz Sikorski wybierał się na emeryturę i mało aktywnie działał w szkole. Postąpiłem zgodnie z życzeniem, ale utrzymywałem w dalszym ciągu z księdzem bliski kontakt, a nawet bliższy niż poprzednio. Codziennie służyłem mu do Mszy św., którą odprawiał w katedrze najczęściej przy bocznym ołtarzu z Chrystusem Ukrzyżowanym. Odprawiał Mszę krótko, około dwudziestu minut, ale z wielkim skupieniem. Wylączał się od wszystkiego. Cała uwaga skierowana była na ołtarz. To skupienie udzielało się także ministrantowi.

Widząc, że codziennie przystępuję do Komunii, spytał, gdzie jadam śniadanie. Kiedy dowiedział się, że w szkole, zganil mnie za to i odtąd zabierał mnie na posiłek ranny do siebie. I tak stosunki moje z księdzem stawały się coraz bliższe. Odwiedziny były częstsze i dłuższe. Doszło do nawiązania stosunków towarzyskich z

moimi rodzicami. Przychodził do naszego domu z księdzem Kurczabem. Mówiono przy sposobności i o mnie. Jak mnie wtedy oceniał? Mamie powiedział, że jestem materiałem, gliną, z której coś będzie można dopiero uformować.

Nie potrafię przedstawić działalności księdza Łapota jako prefekta i moderatora Sodalicii w gimnazjum Śniadeckiego. Zrobili to z pewnością jego uczniowie i wychowankowie. Wiem tyle, że Sodalicja w stosunkowo krótkim czasie stała się najbardziej dynamiczną organizacją w szkole. Zyskiwała coraz więcej członków. Z klas młodszych musiano wydzielić osobną grupę, którą kierował obecny kardynał Andrzej Deskur. Redagowano własną gazetkę ścienną. Rozprowadzano wśród kolegów duże ilości egzemplarzy sodalicyjnego pisma „Pod znakiem Marii”. Dyrektor szkoły liczył się z prefektem i doceniał działalność Sodalicii. W mieszkaniu księdza był ustawiczny ruch. Stale przewijali się uczniowie. Przychodziła młodzież z innych szkół, odwiedzali rodzice. Drzwi były otwarte dla wszystkich i o każdej porze. Ksiądz myślał swoją ogarniał całą szkołę. Każdy uczeń był dla niego ważny.

Specjalne jednak zainteresowanie okazywał członkom Sodalicii, a zwłaszcza grupie „militant”. Znajdywał dla tych ostatnich nawet czas na pomoc w nauce języków obcych. Chciał z nich stworzyć zespół związany głęboką przyjaźnią między sobą, a chyba i przyjaźnią z prefektem. I wreszcie najbliżsi. To było tych kilku, wobec których zaangażował się bez reszty i traktował ich, mówiąc bez przesady, po ojcowsku. Zwracał uwagę na sposób bycia i wyrobienie towarzyskie wychowanków. Gdy było trzeba poprawiał zachowanie przy stole. Przykładał duże znaczenie do sposobu wyrażania się i prowadzenia dyskusji. Miał za złe, jeśli nie złożyło się mu osobiście życzeń świątecznych, noworocznych, czy imieninowych. Od czasu do czasu zabierał wybranych uczniów na wypoczynek do rodzinnego Grabowca, gdzie było gospodarstwo i młyn po nieżyjących już rodzicach.

Cała praca z młodzieżą zaczynała się od ołtarza i kończyła przy ołtarzu. Uczyl, że kształtowanie osobowości ma wypływać z głęboko pojętego i praktykowanego życia wewnętrznego w oparciu o działanie Łaski. Źródłem siły była Eucharystia, modlitwa, z rozsądkiem stosowane wyrzeczenie i apostołstwo, do którego przykładał wielką wagę. Tłumaczył, że apostołstwo winno być oparte na solidnych wewnętrznych podstawach, gdyż wszelkie reformy i doskonalenie bliźnich należy zaczynać od siebie, ale jednocześnie apostołstwo samo przez się pogłębia wewnętrznie człowieka. Pracując dla innych doskonalimy siebie.

Praktykowanie apostołstwa wymagało zaangażowania, uczyło wyrzeczenia i miłości bliźniego. Zachęcało do modlitwy w intencji tych, dla których pracujemy. Na wspólnych nabożeństwach modlono się za całą młodzież, a specjalnie za kolegów obojętnych religijnie. Sam ksiądz modlił się dużo. Modlił się, kiedy miał podjąć jakąś ważniejszą decyzję. Gdy miał ważną rozmowę z uczniem, zabierał zainteresowanego do kościoła i modlili się wspólnie przed tabernakulum. U uczniów ksiądz cenił samodzielność i niezależność myślenia. Nie wszyscy musieli być sodalisami. Istotna była prostota i uczciwość w postępowaniu, a motywy jej mogły być różne. Wybitnym indywidualistą, chodzącym własnymi ścieżkami, był nasz rówieśnik Janek Wojewodzik, którego ksiądz bardzo cenil i mimo różnicy wieku do końca życia traktował prawie jak przyjaciela. Janek lubił żartować sobie z sodalisów, podkreślając swoją niezależność. Byłem świadkiem rozmowy księdza ze starszym uczniem,

wychowanym w środowisku lewicowym i antyklerykalnym, który umiał swoje poglądy uzasadnić i bronić ich. Ksiądz słuchał spokojnie i z zainteresowaniem, odpowiadał na zarzuty i wyjaśniał, co było potrzeba. Nieprzekonanemu rozmówcy na pożegnanie powiedział, że chciałby go mieć wśród swoich bliskich współpracowników. Ksiądz nie raz podkreślał znaczenie moralności opartej na zwykłym rozumowaniu, moralności naturalnej, ograniczonej do zasad dekalogu. Na niej dopiero można budować moralność wypływającą z pobudek nadprzyrodzonych. Jak można mówić o miłości bliźniego, jeśli nie wyrobi się w sobie grzeczności, życzliwości, czy usłużności. Bez fundamentów każda budowla jest niepewna i może łatwo się zawalić. Uczyl szukać prawdziwych wartości w człowieku. Podkreślał, że nie jest istotne stanowisko, czy majątek. Można być szewcem, a kulturą wewnętrzną, życiem duchowym przerastać tych, którzy uważają się za elitę. Żądał szacunku dla ludzi prostych i biednych.

Nie sposób zrozumieć, jak ksiądz mógł podolać wszystkim swoim obowiązkom. Był niestrudzony. Całe dni poświęcał młodzieży, a inną pracę wykonywał nocami. Zapytany, jak sobie daje radę odpowiadał kapłan im więcej ma obowiązków, tym więcej znajduje na nie czasu. Opracował zbiór przykładów dla potrzeb ambony. Napisał zwięzły katechizm dla szkół. Wraz z księdzem Jaroszewiczem i Kornobisem przygotowywał i wydawał konferencje na nabożeństwa majowe i czerwcowe. Prowadził bardzo bogatą korespondencję. Pisał do przyjaciół, do znajomych i do uczniów. Miał ciągły kontakt z zagranicą. Otrzymywał listy dosłownie z całej Europy. Posługiwał się swobodnie językiem francuskim, angielskim, niemieckim. Mówił też po włosku, hiszpańsku, rosyjsku i nawet po węgiersku. Palił bardzo dużo papierosów. Wieczorem, kiedy siedział przy biurku, zapalał jednego od drugiego.

W czasie wakacji otrzymałem od księdza kartkę z Lourdes. Pisał, że jest to miejsce nie tylko cudownych uzdrowień. Działanie Matki Boskiej uwidacznia się przede wszystkim poprzez ustawiczne nawrócenia. Wpływ Łaski Bożej na ludzi widział ksiądz wszędzie, nawet w jarmarcznym zgiełku w czasie odpustu przed katedrą kielecką. Nie dziwił się wątpliwościom w wierze. Uważał, że są dowodem samodzielnego myślenia, a występują u wszystkich, nawet u kapłanów. Jeśli któryś z uczniów odchodził, a bywało i tak, przeżywał to mocno, ale nie potępiał. Zresztą zazwyczaj powracali. Witaił ich serdecznie z otwartymi ramionami, często ze łzą w oku. Nie chciał nas spowiadać.

Tak dużo i otwarcie rozmawialiśmy z nim o sprawach osobistych, że bał się, by przez przypadek nie zdradzić wiadomości zasłyszanych w konfesjonale. Nie robił problemu, jeśli chodzi o wyniki w nauce. Zwracał uwagę na stopnie, ale nie ganił, gdy były słabsze. Nauka i kształtowanie osobowości traktowane były równorzędnie. Starał się być zawsze przy swojej młodzieży i dawał ustawiczne tego dowody. Kiedy w Warszawie odbywał się kongres Sodalicji Mariańskich, ksiądz nie mógł na nim być, ale przynajmniej żegnał nas przy wyjeździe i niespodziewanie oczekiwał później na dworcu kolejowym.

Rodzice moi w roku 1938 wyjechali z Kielc do Szczekocin, a ja zamieszkałem na stacji u krewnych. Wakacje zaś całe spędziłem w domu. W nowym roku szkolnym zostałem prezesem Sodalicji Mariańskiej w gimnazjum im. Żeromskiego. Moderatorem naszym był nowy prefekt ks. Jan Cygan, ale wytycznych do pracy organiza-

cyjnej szukałem u księdza Łapota. I znów częste długie wieczory spędzane na ulicy Czerwonego Krzyża. W tym czasie umarł Papież Pius XI. Ksiądz odnosił się z wielkim uznaniem i czcią do Ojca Świętego. Zapoznawał nas z jego encyklikami, zwłaszcza z *Quadragesimo anno*. To też nie odchodził od radia, słuchając sprawozdań z uroczystości pogrzebowych oraz komentarzy w różnych językach. Na wiosnę 1939 roku ksiądz otrzymał od biskupa Kaczmarka polecenie zorganizowania internatu dla uczniów szkół średnich i od razu przystąpił do realizacji zadania. Miałem w nim zapewnione miejsce. W czasie wakacji po raz drugi spędziłem miesiąc na kolonii na Śnieżnicy. Ksiądz jak zwykle wyjechał do Szwajcarii. Wrócił w ostatnich dniach sierpnia wypoczęty, w dobrym nastroju. Wspominał, że w czasie podróży widział na stacjach kolejowych w Niemczech duże ilości wojska, ale o wojnie nie mówił. Myślał o pracach, jakie go czekają, gdyż obok prefektury miał kierować internatem.

Pierwszego września wybuch wojny zastał mnie u rodziców w Szczekocinach. Uciekając przed Niemcami dotarłem z ojcem na Polesie. Ksiądz Łopot też wyjechał z Kielc przed zbliżającym się frontem, ale już po kilku dniach powrócił do mieszkania w internacie na ulicy Kościuszki, dokąd przeprowadził się w ostatnich dniach sierpnia. Już w październiku zamieszkali w nim alumni szóstego roku seminarium duchownego, ponieważ budynek seminarium został zajęty na szpital. Młodzież oczekiwała na uruchomienie szkół, ale okazało się, że okupanci w ogóle o tym nie myślą. W listopadzie odwiedziłem księdza w Kielcach. Przyjął mnie ze wzruszeniem, gdyż nie wiedział, co się z nami wszystkimi działo. Był przejęty sytuacją w kraju. Winą za poniesioną klęskę obciążał rządzący w Polsce obóz legionowy. Dał mi do przeczytania odbitą na maszynie odezwę do społeczeństwa na temat sytuacji kraju i narodu.

W Szczekocinach życie rodziny jakoś się ułożyło. Żeby uniknąć wywiezienia do Niemiec zacząłem pracować w miejscowej spółdzielni. Na wiosnę 1940 roku odwiedziłem ponownie księdza. Spotkałem u niego kolegów: Mietka, Tadka i Cześka, którzy rozpoczęli naukę w tajnych kompletach gimnazjalnych. Zazdrościłem im, bo ja byłem zupełnie pozbawiony tych możliwości. Widziałem, że ksiądz poświęcał im dużo czasu. Ukierunkowywał zainteresowania, poszerzał wiadomości przez dobór książek wybiegających znacznie poza zakres obowiązkowych lektur szkolnych. Następny raz przyjechałem do księdza w lecie. Mieszkał teraz na ulicy Niecałej w budynku, który Niemcy przydzielili dla seminarium duchownego. Pełnił w nim obowiązki wicerektora. Interesował się moją sytuacją. Radził rozpocząć naukę w formie samokształcenia, na ile mnie będzie stać.

Oddalenie od niego i od środowiska, w którym dotąd przebywałem i rozwijałem się, nakazywało większą samodzielność i odpowiedzialność za siebie. Podsunął myśl, bym zapuścił wąsy, co zrobiłem i zachowałem je już na stałe. Na moją prośbę pomógł w zorganizowaniu kompletów dla młodszych klas gimnazjalnych w Szczekocinach. W roku 1940 przysłał z Kielc Stanisława Gąsiora, który uczył młodzież, w tym moją siostrę. W następnych zaś latach Janka Wojewodzica i Krystynę Skuszanekę. Ta ostatnia pomogła mi wydatnie w przygotowaniu się do matury, którą zdałem w 1943 roku. Przez cały okres okupacji prowadziłem z księdzem korespondencję. Zawsze na mój list odpowiadał. Zadziwiające, jak przy wielkiej ilości zajęć, o czym wspominał, potrafił wypełniać drobnym pismem dwie lub więcej stro-

ny, pisząc wyczerpująco o sprawach, z którymi się do niego zwracałem. Jednocześnie robił wiele dygresji na tematy ogólne w bardzo szerokim ujęciu. Wspominał często dwóch najbliższych kolegów, Mietka i Cześka, którzy wstąpili do seminarium i byli w stałym kontakcie ze swoim wicerektorem. Spotkałem obu przyjaciół w roku 1942 na plebanii w Daleszycach, gdzie ksiądz odpoczywał w czasie wakacji u swojego brata. Młodzi klerycy chodzili w sutannach, mówili i zachowywali się nieco inaczej niż dawniej. Na księdzu widać było zmęczenie.

W rozmowie był jak dawniej bezpośredni, pogodny, ale bardziej poważny i zasadniczy. To już nie był dawny prefekt szkół średnich. Jako wicerektor i wykładowca seminarium duchownego cieszył się dużym uznaniem wśród alumnów. Wiem o tym z wypowiedzi księdza biskupa Materskiego, księdza profesora Zuberbiera, księdza prałata Pałysa i wielu innych, z którymi rozmawiałem o księdzu Łapocie. Mietek i Czesiek ostatecznie seminarium nie ukończyli. Było to z pewnością duże przeżycie dla prefekta i wychowawcy, ale nie zmienił do nich swojego dawnego serdecznego stosunku. Ksiądz nie krył, że chciałby widzieć niektórych ze swoich wychowanków w stanie duchownym przy ołtarzu, ale nigdy do tego nie namawiał.

W roku 1945 jeszcze w czasie działań wojennych wyjechałem do Krakowa, gdzie rozpocząłem studia medyczne. Po zaliczeniu pierwszego roku przyjechałem z odwiedzinami do Kielc, gdzie ksiądz nadal pełnił obowiązki wicerektora seminarium. Ofiarował mi swoją fotografię z dedykacją - *Kochanemu Zbyszowski, wieloletniemu uczniowi mojemu*. Później, aż do piątego roku do Kielc nie jeździłem. Uważałem, że okres studiów jest dla mnie egzaminem życiowym. Nie mogłem zawieść siebie i księdza, ale całe przygotowanie do zawodu oraz do życia musiało być wyłącznie moje, samodzielne. Pod koniec studiów odwiedziłem księdza i powiadomiłem, że mam narzeczoną. Z uznaniem przyjął decyzję o założeniu rodziny, ale wspomniał też o trudnościach, na jakie może napotykać małżeństwo dwóch osób pracujących i to w jednym zawodzie. Opowiadałem o studiach, mówiliśmy o medycynie, która dla księdza poza wiedzą była zawsze powołaniem i sztuką. Kiedy wspomniałem, że mam zamiar robić doktorat, nie zachęcał mnie specjalnie. Większość jego znajomych lekarzy była bez stopnia naukowego, a sprawdzali się w zawodzie znakomicie.

W ustalonym terminie przyjechaliśmy z nieco stremowaną narzeczoną Krystyną do Kielc. Ksiądz z miejsca zaczął jej mówić po imieniu. Zabrał nas na kolację do restauracji. Nocowaliśmy w budynku seminarium duchownego. Przed południem następnego dnia odbyliśmy wspólny spacer na Karczówkę do klasztoru. Ksiądz był bardzo wesoły i robił wszystko, by Krystyna czuła się dobrze. W czasie obiadu obiecał, że przyjedzie na ślub i udzieli nam go osobiście. Znalazł czas, by odprowadzić gości do pociągu. Ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu na ślub nie przyjechał. Okazało się, że wysłany list z zaproszeniem nie dotarł do księdza. Po ślubie wyjechaliśmy na krótko do Zakopanego, a następnie do Cieplic na miesięczną praktykę w tamtejszym sanatorium. Pewnego dnia rano usłyszeliśmy pukanie do drzwi pokoi. Kiedy je otworzyłem zobaczyłem przed sobą uśmiechniętego księdza Łapota, który, jak się okazało, przebywał na wypoczynku w sąsiedniej miejscowości. Wielka to była niespodzianka. Spędziliśmy wspólnie dwa tygodnie. Prawie każdego dnia urządzaliśmy wycieczki. W jedną niedzielę kąpaliliśmy się w jeziorze Pilicho-

wickim. Wspólnie jadalіśmy kolacje, na które nas ksiądz zapraszał. Szybko wszystko przeminęło i z żalem żegnaliśmy odjeżdżającego.

Po zdaniu egzaminów i uzyskaniu dyplomu w roku 1951 zbiegiem okoliczności zostaliśmy skierowani do pracy w Kielcach. Ksiądz już tu nie było. W międzyczasie wyjechał do Olsztyna, gdzie został rektorem nowo powstałego seminarium duchownego. Jednakże, pomimo oddalenia, nie zapomniiał o uczniach. Przy każdym pobycie w Kielcach odwiedzał nas choć na chwilę. Interesowało go wszystko, całe nasze życie i praca zawodowa. Ku przerażeniu młodej gospodyni domu zaglądał we wszystkie zakamarki mieszkania, do szafek, szuflad i wazonów, wypowiadając wesole uwagi na temat porządków. Kiedy urodził się nam syn, przyjechał specjalnie z Olsztyna i ochrzcił go. Po raz pierwszy zauważyłem wtedy zmianę w zachowaniu księdza. Nie był już tak energiczny jak dawniej. Mówił wolniej, na pytania odpowiadał z opóźnieniem. Milczał i przysłuchiwał się rozmowom. Pisząc o dzieciach wspomnę, że wcześniej urodzonej córce Urszuli daliśmy na drugie imię Józefa dla upamiętnienia księdza.

W następnych latach przyjeżdżał do Kielc coraz rzadziej. Dochodziły wieści, że choruje i że ma trudności w pracy. Wreszcie zrezygnował z obowiązków rektora seminarium olsztyńskiego i zwrócił się z prośbą o umożliwienie zamieszkania w Domu Księży Emerytów w Kielcach. Pracowałem jako lekarz w tym domu i oczekiwałem przyjazdu oraz spotkania w miejscu, gdzie jako chłopiec, uczeń ćwiczeniówki, odwiedziłem po raz pierwszy mojego prefekta. Po przyjeździe ksiądz sam poprosił o sprowadzenie lekarza. Kiedy mnie wezwano wszedłem do skromnie urządzonego pokoju i witając się ucałowałem rękę kapłana i drogiego mi człowieka. Nie widziałem go dość długo. Już na pierwsze wejrzenie widać było, że zmienił się bardzo. Twarz była zmęczona, oczy przygasłe. Szpakowate dotąd włosy stały się gołąbkoowo siwe. Dopiero po kilku zdaniach ożywił się. Później przyznał, że w pierwszej chwili nie poznał mnie. Myślał, że to obcy lekarz. Gdy zorientował się, z kim ma do czynienia, zaczął mówić o sobie. Skarżył się na trudności w nawiązywaniu kontaktu z otoczeniem. Bardzo dokuczala mu amnezja. Nie pamiętał wielu faktów z przeszłości, jednocześnie zapominał to, co robił bieżąco. Zdawał sobie doskonale sprawę ze swego stanu. Łączył go z narastającą miążdżycą, o czym uświadomiony został przez leczących dotychczas lekarzy. Liczył, że zmiana warunków życia, w tym pobyt w domu emerytów, wpłynie korzystnie na stan zdrowia. Przy następnych wizytach opowiadał o pracy w Olsztynie. Już od dłuższego czasu nie mógł podołać obowiązkowi rektora. Informował lojalnie o tym swoje władze.

To pogłębiało frustrację i pogarszało stan zdrowia rzeczywiście chorego człowieka. Wreszcie uzyskał zwolnienie i przyjechał do Kielc. Podupadł też bardzo fizycznie. Robił wrażenie starego człowieka, a przecież miał dopiero nieco ponad pięćdziesiąt lat. Na ulicy chodził wolnym krokiem lekko przygarbiony z rękami w kieszeniach. Dużo czasu spędzał w Zagnańsku u księdza Kurczaba. Odwiedzał niektórych znajomych, ale robił to niechętnie. Przychodził również do nas do domu. Odwiedzał też mnie od czasu do czasu w szpitalu. Załatwiał sobie rentę chorobową, do której miał pełne prawa. Trzeba było przypilnować tej sprawy, bo przy ówczesnym nastawieniu władz do duchowieństwa mógł zostać po-
krywdzony.

Pomimo leczenia i wyjazdów do specjalistów miażdżyca i ogólna degradacja narastała. Miał trudności w odprawianiu Mszy św. Na pogrzebie mojego teścia jako główny celebrans ciągle się mylił i towarzyszący księży musieli podpowiadać, co ma robić. Z myślą o skuteczniejszym leczeniu wyjechał po dużych trudnościach i długich staraniach do przyjaciela w Szwajcarii. Przebywał tam ponad pół roku, ale wrócił jeszcze bardziej zrezygnowany, bo choroba robiła postępy. Pewnego dnia pielęgniarka domu emerytów, wyraźnie zaniepokojona, wezwała mnie telefonicznie. Ksiądz nie mówił i patrzył bezradnie. Po umieszczeniu w oddziale neurologicznym mowa powoli wracała do normy. Pracowałem w sąsiedztwie i mogłem chorego odwiedzać codziennie. Był przygnębiony. Z przykrością patrzyło się na człowieka wyraźnie zagubionego, siedzącego w piżamie na łóżku szpitalnym. Przy tym wszystkim ordynator oddziału był zaskoczony wiedzą, inteligencją i znajomością języków pacjenta, zwłaszcza francuskiego, którym sam władał biegle. Zdawało się, że będzie dobrze, ale niestety miażdżyca narastała i zaczęła czynić spustoszenia w mózgu. Nastąpił niedowład prawej kończyny górnej, następnie dolnej i ksiądz w ogóle przestał chodzić. Wiadomość o dramatycznym pogorszeniu stanu zdrowia rozeszła się szybko. Odwiedził księdza biskup pomocniczy diecezji olsztyńskiej, odwiedzali miejscowi. Przyszedł do mnie zmartwiony ksiądz profesor Zuberbier w towarzystwie ojca Karola Meissnera, benedyktyna. Pytali co robić. Ojciec Karol, z wykształcenia lekarz, wysuwał propozycje terapeutyczne, ale okazało się, że ksiądz wszystkie proponowane leki już dostawał.

Stan ogólny chorego pogarszał się i ponownie mówił gorzej. W tej sytuacji wymagał właściwie tylko troskliwej opieki pielęgniarskiej i został przeniesiony do Domu Księży Emerytów, gdzie leżał zupełnie bezradny, pielęgnowany i karmiony przez miejscowe siostry zakonne. Pomagali im często dawni uczniowie zarówno księży jak i świeccy. Pamiętali o byłym wicerektorze alumni seminarium. Ksiądz coraz mniej reagował na otoczenie i na odwiedziny. Wychudł, postępowało ogólne wyniszczenie. Świadomość miał zachowaną i widać było, że pogodził się ze swoim stanem. Od czasu do czasu mówił niewyraźnie sam do siebie. Po kilku tygodniach opatrzone Sakramentami spokojnie umarł. Pogrzeb był uroczysty. Mszę św. w kaplicy Domu Księży Emerytów i egzekwie na cmentarzu w Piotrkowicach, gdzie ksiądz zgodnie z wolą został pochowany przy swoich rodzicach, odprawił ksiądz biskup Jaroszewicz w asyście wielu księży z terenu całej diecezji. Dużo było ludzi świeckich. Przy grobie nieraz później można było spotkać pamiętających o swym prefekcie uczniów.

Uważałem, że pamięć po księdzu nie powinna ograniczyć się do płyty nagrobkowej na wiejskim cmentarzu, dlatego przy okazji wspomniałem księdzu biskupowi Jaroszewiczowi, że ksiądz Łapot jako wieloletni prefekt szkół średnich i profesor seminarium duchownego zasługuje na epitafium w kościele w Kielcach. Biskup zgodził się z tym i dodał, że swoje studia w Szwajcarii zawdzięczał księdzu, który ściągnął go z Lublina, z KUL-u do Fryburga. Wykonaniem tablicy zajął się ksiądz Jan Kurczab. Plakietka z brązu z podobizną księdza sporządzona została według fotografii, którą mi kiedyś ofiarował. Epitafium odsłonięte i poświęcone zostało przez księdza biskupa Jaroszewicza w kościele Świętej Trójcy. Wiele lat później byłem w Olsztynie na zjeździe Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Przy zwiedzaniu katedry spotkała mnie niespodzianka. W bocznej nawie zoba-

czyłem wykonane z czarnego granitu piękne epitafium pierwszego rektora seminarium duchownego - Hozjanum, księdza dra Józefa Łapota. Na epitafium wyrzeźbiono głowę w półprofilu oraz herby diecezji kieleckiej i olsztyńskiej. Nie tylko w Kielcach, ale i w dalekim Olsztynie, gdzie działał stosunkowo krótko znalazł ksiądz pełne uznanie.

To, co zostało tu przedstawione, to niewielki i niewolny od emocjonalnego nastawienia wycinek działalności niecodziennego prefekta. Ksiądz wyprzedzał swoje czasy. Należał już do pokolenia drugiego Soboru Watykańskiego. Był otwarty na ludzi. Widział w świeckich, zwłaszcza w młodzieży zacyz i tworzywo w ulegającym przemianom Kościele. Szukał wartości w każdym człowieku. Angażował się wobec wielu osób. Czasem ponosili porażki, ale nie zmieniało to przekonania o słuszności drogi, jaką szedł w pracy duszpasterskiej. Można by mnożyć sylwetki tych, którzy nazywając się uczniami księdza Łapota, są dzisiaj w różnych dziedzinach życia żywym dokumentem wszystkiego najlepszego, co realizował on w swojej działalności wychowawczej. Pozostał dla jednego pokolenia autorytetem na zawsze. Mam tego dowody na co dzień. Na wszystkich, którzy się z nim zetknęli, promieniowała i oddziaływała siła, rozległość i zarazem prostota umysłu, ujmowało postępowanie. Mój stosunek do księdza Łapota wypełniony był i jest szacunkiem, podziwem i wdzięcznością dla człowieka, który wywarł na mnie niezatarte piętno. Jeśli cokolwiek dobrego udało mi się zrobić w życiu, to niewątpliwie zasługa mojego prefekta.